

Bóg dał ptakom skrzydła...

Im dłużej przyglądam się światu, tym bardziej jestem przekonana, że żadne ludzkie osiągnięcie nie jest się w stanie równać z cudami stworzonymi przez Boga. Takim właśnie cudem biologii, estetyki i inżynierii są ptaki. A jeśli ich zdjęcia prezentowane na wystawie zachęcą kogoś do obserwacji naszych rodzimych ptasich piękności, to ta ekspozycja spełni swoje zadanie...



Magda Niedziałek – rodowita lublinianka, żona Roberta, mama Oli, Agaty i Kacpra. Z wykształcenia polonistka, absolwentka Wydziału Humanistycznego UMCS w Lublinie. Rozpoczęła studia w 1981 roku, można więc powiedzieć, że żyła niejako w dwóch epokach, a pamięć o tym, o ile gorzej, ale i pod jakimi względami lepiej wyglądał kie-

dyś świat, bardzo pomaga jej w życiu. Z powołania nauczycielka, miała jednak okresy fascynacji przeróżnymi dziedzinami aktywności, z których najtrwalszy wpływ wywarły na nią teatr i taniec. Uczyła języka polskiego w szkole podstawowej i gimnazjum, prowadziła zespół taneczny i zajęcia kreatywnego myślenia dla dzieci, pisywała recenzje lubelskich premier w ogólnopolskim „Gońcu Teatralnym”, robiła językową korektę tłumaczeń tekstów książek i filmów popularnonaukowych, polecała wartościową literaturę słuchaczom Radia Top. Przez cały ten czas jako hobby zajmowała się ornitologią. Od zawsze interesowały ją ptaki i to one, ich obserwacja, są dla niej najistotniejsze, a fotografia stanowi jedynie pomoc, jedno z mediów służących przekazywaniu wrażeń.



Dom Kultury
Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej



Wystawa fotografii

Magdy Niedziałek

Bóg dał ptakom skrzydła...



Zaczął się od dzięciołów. I jeszcze od gili i jemiołuszek przylatujących zimą na jagody głogu obok naszych okien. I oczywiście od kawek i gawronów, zdecydowanie nie wron – ich siwo-czarne upierzenie było moim odkryciem dopiero w wieku kilkunastu lat. Zresztą do tej pory nie są na ogół gatunkiem miejskim. W Polsce wyjątkową pod tym względem jest chyba tylko Warszawa z wronami żebrzącymi wśród parkowych ławek. No i wreszcie od wróbli. Nie pamiętam na pewno, ale raczej nie mazurków – w końcu to przecież było miasto, a wówczas, pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, ulicą Nowy Świat w Lublinie jeździło znacznie więcej ciągniętych przez konie furmanek niż samochodów. Ten ostatni to była właściwie tylko jedna ciężarówka, ale za to codziennie pojawiała się dwa razy - wioząc żołnierzy z jednostki wojskowej i z powrotem. Jej hałaśliwy przejazd nierówną drogą pozostawiał, na szczęście nie na długo, smugę cuchnących spalin. Za to konie rozwożące węgiel z pobliskiego składu zostawiały między kocimi łbami mnóstwo nawozu, z którego wróble skwapliwie korzystały.

Więc jeszcze raz: zaczęło się od dzięciołów. Wtedy to były jeszcze dzięcioły pstre wielkie, teraz już tylko duże. Może to i dobrze, że w ramach niedawnej reformy nazewnictwa nie udało się ich po raz kolejny zmienić, dajmy na to na „dużaki”. Powiedzmy sobie szczerze – nie wszystkie aktualne jednowyrazowe nazwy gatunków są najszczęśliwiej dobrane. Ale cóż, większość dzięciołów się nie dała. Te „moje” opukiwały pnie topól i iglaków rosnących wzdłuż ogrodzenia oddzielającego podwórko od torów kolejowych. Czyste kolory – czerni, biel, nasyciona czerwień - i rysunek ich upierzenia nie przestały mnie zachwycać do dziś, zwłaszcza oglądane na tle śniegu w zimowym lesie. Pamiętam, że raz dostrzegłam nieco innego ptaka. Jako dziecko rzecz jasna uznałam go za przedstawiciela odmiennego gatunku, ale dziś już nie pamiętam, czy moją uwagę zwróciła zmiana wielkości i wzoru upierzenia – powiedzmy u dzięciołka, czy tylko koloru czapeczki w zależności od płci i wieku. Jedno wiem na pewno: moja reakcja wyróżniała mnie spośród innych dzieci. Dla nich posuwająca się pionowo po pniu sylwetka była tylko pretekstem do chwilowego zaciekawienia, dla mnie – przedmiotem niekończącej się fascynacji.

Dziękuję duże, najbardziej rozpoznane i w miastach, i poza nimi, do dziś towarzyszą mi najwierniej. Ich niezwykle piękno i ostry, wyraźny krzyk wciąż wywołują uśmiech na mojej twarzy przy każdym spotkaniu. Jednak wśród tych licznych spotkań kilka było szczególnych, a dwa z nich nazwałabym nawet bliskimi. Pewnego dnia, jakoś na przełomie wiosny i lata, zajrzeliśmy na naszą działkę letniskową, położoną na skraju Lasów Kozłowieckich. Budowana tam chałta z bali była na ukończeniu, miejscami stała już nawet drewniana konstrukcja tarasu. I właśnie przy niej, między szerokimi deskami a podmurówką domu, znalazł się nasz nieoczekiwany gość. Młody, a więc i niedoświadczony dzięcioł duży musiał się wsunąć bokiem w wąską szczelinę w poszukiwaniu żeru, a teraz tkwił tam, przerażony, nie umiejąc o własnych siłach opuścić pułapki. Nic dziwnego – było tam tak mało miejsca, a dostęp na tyle niewygodny, że także my z mężem mieliśmy problem z uwolnieniem zszokowanego więźnia, a co dopiero on sam – w stanie na pewno poważnie zaburzającym jego zmysł orientacji. Dopiero szczupłe rączki naszych dzieci były w stanie pomóc. Wyglądało na to, że oszołomiony dzięcioł nie jest nawet pewny, czy lepiej się wyrwać, czy przyciąć w oczekiwaniu na dalszy ciąg przygody. A przy okazji mieliśmy możliwość dokładnego przyjrzenia się jego młodocianej głowie, na której czerwone piórka przeplatane były gdzieś pojedynczymi czarnymi. To tłumaczyło, dlaczego jego czapeczka, mimo że pozornie w tym samym kolorze, tak bardzo go różni od „palących się” żywą czerwienią dzięciołów średnich.

Drugie z bliskich spotkań było o wiele bardziej prozaiczne i odbywało się przez szybę – jak podczas widzenia w zakładzie karnym, z tym że to nie dzięcioły były w zamknięciu... Na willowych obrzeżach Lublina do dziś można obserwować wiele z tych gatunków, które przed ponad czterdziestu laty bywały stałymi gośćmi osiedli mieszkaniowych w samym mieście. I tak od kilku zim w pobliżu umieszczonego na tarasie drewnianego karmnika przylatywały dzwonce – na luskany słonecznik, grubodzioby – na słonecznikowe pestki w łupinkach, gile i jemiołuszki – na pozostałe na drzewach owoce, sikory czarnogłówni i sosnowki – na iglaki, a mazurki, sójki, sroki, kawki i gawrony – na wszystko, co dało się dziobnąć lub porwać. No i oczywiście amatorzy tłuszczu – bogatki, modraszki i ...

dziękuję duże z przewagą samic. Jednego roku doszło do tego, że codziennie rano, gdy schodziłam po schodach z sypialni, witało mnie stukanie mocnego dzioba o karmnik, a potem widok czarno-białego ptaka, zwykle bez czerwieni na potylicy (czyli płci żeńskiej), za to z krwistym podogoniem. Często ją pierwsza przerywałam wzajemną obserwacją z odległości półtora metra i szłam przygotować śniadanie, podczas gdy nieustraszona dzięciolica nadal pożywała się słoniną.

Spośród bardzo licznych spotkań z „lekarzami drzew”, jak mówiło się na nie, gdy byłam dzieckiem, kolejne dwa urzekły mnie swoją nietypowością, a oba miały przede wszystkim charakter dźwiękowy. Kiedyś wiosną na skraju Lasów Kozłowieckich usłyszałam wyjątkowo delikatne i „suche” stukanie. Zaciekawiona, zaczęłam się rozglądać za jego źródłem, ale niestety – mimo obserwacji licznych wlotów dziupli i dość precyzyjnego zlokalizowania, skąd dochodzi bębnienie, autora wciąż nie było widać. Dopiero po dłuższym czasie dostrzegłam wiórki drewna wyrzucane z jednego ze świeżych otworów – odgłosy dochodziły z wnętrza sosny, gdzie ptak modelował nowe mieszkanie! W drugim przypadku nie chodziło ani o dźwięk delikatny, ani kojarzący się z dzięciołem. Podczas spaceru w okolicach Krojant na Pomorzu usłyszałam wrzask rozzwierający uszy i serce. Sugestia, że jakieś stworzenie potrzebuje natychmiastowej pomocy, skłoniła mnie do jego odszukania. Wchodziłam w las, a głos narastał aż do poziomu trudnego do zniesienia. W końcu zobaczyłam wychylającą się z dziupli główkę dzięciolego podłota, który darł się bez opamiętania „jeść! jeść!”, przerywając tylko na krótką chwilę po zatkanie dzioba przez rodzica.

Od moich pierwszych obserwacji dzięciołów pstrych wielkich minęło ponad czterdzieści lat, ale ta przygoda wydaje się nie mieć końca. Tylko raz podczas zagranicznych podróży nie udało mi się spotkać żadnego przedstawiciela tej wielkiej grupy. Tworzące wspólne spiżarnie dzięciury żółdziowe w Ameryce Północnej, endemiczny dzięciur płowy wykuwający otwory w pniach palm na Dominikanie, imponujące rozmiarami gatunki o wielkich czerwonych czubach w Ekwadorze, europejskie dzięcioły zielone zbierające owady wśród traw i czarne, wykonujące wiosną niezwykle rytuały godowe – można wymienić i wymieniać. A to zaledwie jeden rząd ptaków...



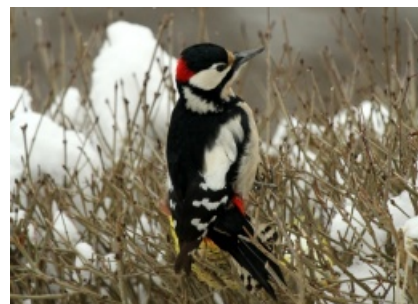
Dom Kultury
Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej



Wystawa fotografii

Magdy Niedziałek

Bóg dał ptakom skrzydła...



Wernisaż odbędzie się

w piątek 10 stycznia 2014 r. o godz. 17:30

w Galerii Sztuki w Domu Kultury LSM

w Lublinie, ul. K. Wallenroda 4a, tel. 81 743 48 29

www.domkulturylsm.pl

Wstęp wolny